Rozmawia Andrzej Brzeziecki, Newsweek, nr 14, 30.03-5.04.2020 r.

Pod osłoną nocy Aerofłot lądował na Okęciu, gdzie radzieccy Żydzi przesiadali się do samolotów izraelskich. Ochraniali ich agenci Mosadu i zomowcy antyterroryści, a zza płotu Okęcia filmowały to służby państw arabskich

W latach 1990-1992 ponad 42 tysiące Żydów obywateli Związku Radzieckiego dotarło do Izraela dzięki tranzytowi przez Polskę. O operacji „Most” - największej w historii polskich służb specjalnych - opowiada Wojciech Raduchowski-Bro- chwicz, współtwórca kontrwywiadu III RP.

NEWSWEEK: „Polska nie uchyli się od pomocy Żydom emigrującym ze Związku Radzieckiego i zapewni im tranzyt” - taką deklarację złożył 30 lat temu premier Tadeusz Mazowiecki podczas wizyty w USA. Dlaczego radzieccy Żydzi nie mogli jechać wprost do Izraela?

WOJCIECH RADUCHOWSKI-BROCHWICZ: Bo ZSRR i Izrael nie miały stosunków dyplomatycznych. Cały blok komunistyczny poza Rumunią zerwał stosunki z Izraelem po wojnie sześciodniowej w 1967 r., ale już ok. 1988 r. powstał w Warszawie punkt konsultacyjny przy ambasadzie holenderskiej, a gdy zaczął się nasz marsz na Zachód, w listopadzie 1989 r. nad Wisłę przyjechał wicepremier Szymon Peres, zaś w lutym 1990 r. stosunki dyplomatyczne zostały wznowione.

Jaka była sytuacja Żydów w ZSRR?

- Zła. Kryzys gospodarczy narastał, pojawiły się nacjonalizmy i napięcia religijne, wzmagał się antysemityzm. Tamtejsi Żydzi poczuli się zagrożeni, w Tel Awiwie postanowiono ściągnąć tych ludzi do Izraela. Do tego dochodziła kalkulacja czysto ekonomiczna - Izrael potrzebował imigrantów: żołnierzy, lekarzy, inżynierów.

Już wcześniej opowiadano dowcip: Golda Meyer przychodzi do Ben Guriona i ma dwie wiadomości. Dobrą: Breżniew wypuścił Żydów z ZSRR. Na pytanie o złą Meyer odpowiada: Oni jadą tu!

- Władze w Tel Awiwie ucieszyły się z napływu świeżej krwi i fachowców.

Kiedy zaczęła się Alija („powrót do ojczyzny ojców”) przez Warszawę?

- Jeszcze przed 1989 r. generał Jaruzelski prowadził rozmowy ze środowiskami żydowskimi w USA. Pierwsze transporty zaczęły docierać do Polski w 1989 r. koleją. Migrantów umieszczano w ni to internacie, ni hotelu, który stał tam, gdzie dziś jest Galeria Mokotów. Potem przewożono ich na Okęcie i wsadzano do samolotów izraelskich. Ale dopiero deklaracja Mazowieckiego z marca 1990 r. dała początek operacji pod kryptonimem „Most”.

Zanim Polska weszła do gry, rozpatrywano Wiedeń albo Budapeszt.

Austriacy uznali, że to zadanie ich przerasta. Obawiali się zamachów. Węgrzy wystraszyli się, gdy faktycznie doszło tam do zamachu terrorystycznego.

Polska była dużym krajem, uważano też, że mimo politycznej transformacji zachowaliśmy sprawne służby specjalne. To dla mnie koronny argument przeciw opcji zero, czyli budowaniu służb od nowa, co postulowała nasza prawica. Zachodni partnerzy byli zadowoleni, że po weryfikacji zostawialiśmy fachowców.

Zaledwie kilka dni po deklaracji Mazowieckiego nasz attache i jego żona zostali ranni w Libanie.

- Zamachowcy nawet wydali oświadczenie, w którym przedstawili swoje racje. Nasi nowi sojusznicy, np. tradycyjnie mocne w krajach Lewantu służby brytyjskie, ostrzegli, że Arabowie rozważają akcje odwetowe wobec naszego państwa albo zamachy na żydowskich emigrantów.

29 marca 1990 r. ambasador USA w Warszawie zaoferował pomoc w ochronie samolotów i lotnisk przed terrorystami.

Natychmiast pojawili się tu amerykańscy specjaliści.

Polska do tej pory była sojusznikiem krajów arabskich.

- Na naszych uczelniach i w szkołach oficerskich studiowało dużo ludzi z Bliskiego Wschodu. Część z nich zostawała w Polsce.

Pod koniec lat 80. XX w. według danych MSW na stałe przebywało około 12 tysięcy ludzi pochodzenia bliskowschodniego.

Do tego dochodziła spora liczba ludzi, którzy pojawiali się u nas na chwilę - legalnie albo nielegalnie. Byliśmy miejscem spotkań arabskich terrorystów, mieliśmy też w Warszawie kilka przedstawicielstw arabskich firm zbrojeniowych, które tu zawierały transakcje i pozyskiwały broń. W sierpniu 1981 r. w hotelu Victoria został postrzelony słynny terrorysta Abu Daoud - jeden z organizatorów zamachu na izraelskich olimpijczyków w Monachium w 1972 r. Podejrzewano, że to wyrok Mosadu, ale raczej były to porachunki handlarzy bronią.

Służba Bezpieczeństwa nie byłaby sobą, gdyby tak dużej społeczności nie wzięła pod lupę. Powstała więc wielka baza danych obywateli z państw arabskich. Gdy jako ludzie Solidarności weszliśmy do służb w 1990 r., przejęliśmy tę bazę wraz z oficerami prowadzącymi i agentami.

Żydom Polska kojarzyła się z antysemityzmem. Nie mieli oporów, żeby w Warszawie był punkt przesiadkowy?

- Ale Polska właśnie się zmieniała. Do władzy doszli tacy ludzie Solidarności jak Tadeusz

Mazowiecki czy Władysław Bartoszewski - symbole przyjaźni polsko-żydowskiej. Szefem solidarnościowego klubu parlamentarnego był Bronisław Geremek, niekryjący żydowskich korzeni. W Izraelu zaś duża część klasy politycznej pochodziła z Polski i była otwarta na współpracę z demokratycznymi władzami w Warszawie.

Krzysztof Kozłowski, solidarnościowy wiceminister spraw wewnętrznych, a od lipca 1990 szef MSW, wspominał, że za radą Brytyjczyków znaleziono lotnisko gdzieś na bezpiecznej prowincji, gdzie Żydzi na transport mieli czekać w specjalnie zbudowanym obozie. Podobno delegacja z Izraela zareagowała stanowczo - żaden Żyd nie będzie już nigdy przewożony do żadnego obozu.

- No i trzeba było się zdecydować na Okęcie. Myśmy się tego bali, bo to przestarzałe lotnisko nie spełniało żadnych wymogów bezpieczeństwa. Było położone w ramach aglomeracji miejskiej, z masą dróg dojazdowych. Zabezpieczenie tego terenu było ogromnym wyzwaniem.

W dodatku służby były w przebudowie.

- Gdy premier Mazowiecki składał deklarację w USA, w Warszawie ruszała weryfikacja. Służba miała działać wąsko. Wyznaczono jej kilka celów: kontrwywiad, zwalczanie przestępczości zorganizowanej godzącej w interesy państwa, zwalczanie terroryzmu. To ostatnie wydawało nam się trochę na wyrost, ale dostawaliśmy już analizy z Zachodu, wedle których po upadku żelaznej kurtyny miało nastąpić wzmożenie terroryzmu. Państwo przeorientowało się na Zachód, więc musieliśmy myśleć, jak zabezpieczyć nasze kontakty ze światem arabskim.

Jak?

- Bez zwolnienia z tajemnicy państwowej nie mogę tego powiedzieć nawet po 30 latach. W każdym razie dzięki aktywom z poprzedniej epoki wiedzieliśmy, czego się spodziewać i że musimy być ostrożni.

Wywiady na całym świecie pracują w ciszy. Mieliśmy dobry wywiad i kontrwywiad i to głównie dzięki ich mrówczej pracy nic, poza incydentem w Libanie, się nie stało. Nasz wywiad

neutralizował nastroje na Bliskim Wschodzie, żeby nie zrodziły się tam krwiożercze plany wobec Polski, która pomagała Izraelowi. Ponadto raczkująca dyplomacja III RP starała się nie palić mostów na Bliskim Wschodzie. To się sprawdziło po latach, kiedy nasi żołnierze byli wysyłani na misje w te rejony. Tam żyje wiele osób, które w Polsce studiowały oraz mieszkały i mają stąd dobre wspomnienia. Dzięki temu mogliśmy tam liczyć na lepsze traktowanie niż starsi członkowie NATO. Uniknęliśmy wielu wrogich akcji.

Antoni Macierewicz dużo tu popsuł, ale jak zajdzie potrzeba, polskie służby wciąż wiedzą, do kogo się zwrócić, by rozmawiać o uwolnieniu zakładników.

Z „opcją zero” w służbach byłoby to niemożliwe?

- Zdecydowanie nie. Może trudno uwierzyć, ale wszystkie sukcesy służb w późniejszych latach to w 90 proc. dzieło jednego człowieka: Krzysztofa Kozłowskiego. Pojawił się w tym zoo jak egzotyczny ptak wiosną 1990 r., by zreorganizować służby. Spojrzał na problem z punktu widzenia państwa i doszedł do wniosku, że „opcja zero” nie wchodzi w rachubę. Nie stać nas na nią i musimy się oprzeć na ludziach SB, po weryfikacji oczywiście. On tym esbekom zawrócił w głowie. Jeden z oficerów powiedział mi, że Kozłowski przywrócił mu poczucie bycia człowiekiem. Pokazał, że można pracować z szacunkiem dla siebie. Wcześniej esbecy byli tylko „aparatem”, a teraz okazywali się sobą. Ta filozofia pozwoliła bezboleśnie zreformować służby. Przegoniono też politykę z Rakowieckiej. Na krótko, niestety.

Ilu Polaków było zaangażowanych w operację „Most”?

- Około tysiąca oficerów. Dodam, że wszyscy oni zostali niedawno pozbawieni praw do emerytury.

Operacja ruszyła w czerwcu 1990 r.

- Odpowiadałem za bezpieczeństwo ludzi, którzy mieli tu przylecieć i stąd odlecieć. Przez dwa łata właściwie mieszkałem na Okęciu. Miałem do dyspozycji ludzi z dawnego departamentu II MSW, który zajmował się Arabami i Żydami. Miał w tym spore osiągnięcia.

Pomagał Arabom zwalczać Żydów...

- W gromadzeniu aktywów! Służba wywiadowcza różni się od policyjnej. Policja ustala sprawców i ich zamyka. Służba wywiadowcza ustala sprawców i ich werbuje - do własnych celów i celów państwa. Aktywa, którymi dysponował UOP po SB w kwestiach wywiadowczych, były nie do przecenienia. Współpracowałem też z policją i Wojskami Ochrony Pogranicza, które przekształcały się w Straż Graniczną. Fizyczne zabezpieczenie gwarantował antyterrorystyczny pluton ZOMO, którym dowodził Jerzy Dziewulski. Dotychczasowe doświadczenie plutonu polegało głównie na wyłapywaniu desperatów, którzy porywali samoloty, by uciec na Zachód.

Na ogół przylatywał jeden duży samolot Aerofłotu, a dwa mniejsze odlatywały do Izraela. Z Rosjanami nie udawało się nigdy ustalić godzin tych transportów, dowiadywaliśmy się o nich, gdy samolot wchodził w naszą przestrzeń powietrzną o różnych porach nocy.

Samolotów izraelskich pilnowali Mosad i polska obsługa przeszkolona przez Żydów. Był to pierwszy przypadek, żebyw izraelskich liniach dopuszczano do służby obywateli innego państwa. Ci Polacy uczestniczyli potem w operacjach przerzutowych na zagranicznych lotniskach, gdy operacja w Polsce się zakończyła. Cały teren kontrolowali policyjni antyterroryści, a w pogotowiu była jeszcze Straż Graniczna. Kontrwywiad zaś zbierał informacje o istotnych zagrożeniach.

Co to są „istotne zagrożenia”?

- Wzmożona aktywność ludzi przedstawicielstw dyplomatycznych krajów arabskich, głównie z Syrii - podjeżdżali z kamerami i filmowali przebieg operacji.

Może tylko „gromadzili aktywa”? Co im dawało kręcenie migrantów kamerą zza płotu lotniska?

- Żadna służba nie zbiera informacji tak sobie. Stanowili zagrożenie, bo te nagrania mogły

posłużyć do ewentualnych akcji. Zdjęcia z lotniska mogły pozwolić oszacować skalę transportów, przyjrzeć się zabezpieczeniom lotniska.

Pamięta pan pierwszy samolot?

- Nie, ale pamiętam ogólnie tę rzekę ludzi, która pojawiała się wraz z transportami. Przechodzili kontrolę paszportową, ale nie było rewizji. Był to wstrząsający widok. Wszystko działo się nocą na płycie lotniska w miejscu zwanym „pod kandelabrami”, bo było oświetlane przez wysokie latarnie. Miałem przed sobą cały przekrój społeczeństwa sowieckiego. Inteligenci i prości ludzie, niemowlęta i starcy, ludzie elegancko ubrani oraz w kufajkach i walonkach. Nieśli swój dobytek. Raz to były eleganckie sakwojaże, a raz wypchane worki. Wszyscy mieli w oczach strach. Szli w nocy, wkoło uzbrojeni ludzie, ogrodzenie... Przed nimi nieznane. Emocje były wręcz dotykalne.

Alija miała też uboczne efekty.

- W latach 80. XX w. nawiązała się w Izraelu delikatna nić współpracy między Żydami i Palestyńczykami. Wskutek pojawienia się masy imigrantów Arabowie wypadli z rynku pracy - budowlańcy czy opiekunki do dzieci stracili posady. To wywołało głęboki kryzys w Autonomii Palestyńskiej i w jakimś sensie sprowokowało pierwszą intifadę.

Co Polska zyskała na operacji „Most”?

- „Most” stał się mitem założycielskim naszych służb w czasach demokracji. Operacja była wstępem do wytężonej współpracy z CIA i MI6. Bez niej nie byłoby słynnej operacji Samum w Iraku [polscy oficerowie uratowali amerykańskich agentów - red.]. Uwiarygodniliśmy się wobec zachodniej wspólnoty wywiadowczej. Dostaliśmy wsparcie. W ślad za wymianą informacji poszły szkolenia. Jedną z konsekwencji „Mostu” było utworzenie jednostki GROM.

Wojciech Raduchowski-Brochwicz (ur. 1960) jest prawnikiem. W PRL działał w opozycji. W roku 1990 został wicedyrektorem Zarządu Kontrwywiadu nowo powstałego Urzędu Ochrony Państwa. Później m.in. Był doradcą szefa MSW i zastępcą komendanta głównego Straży Granicznej

Leon Baranowski, Buenos Aires – Argentyna